

Barker Clive

Pidgin i Theresa



calibre 0.9.27

CLIVE BARKER

PIDGIN I THERESA

Apoteoza Świętego Raymonda z Crouch End miała miejsce, jak większość angielskich egzaltacji, w styczniu. Będący ponurym miesiącem, styczeń jest uznawany w niebiańskich kręgach za lepszy czas dla odwiedzenia Anglii niż jakikolwiek inny. Miesiąc wcześniej, oczy dzieci zwrócone są ku niebiosom w nadziei wypatrzenia renifera i sani. Miesiąc później, i możliwe nadejście wiosny – choć płonne – jest wystarczającym dla wyostrenia zmysłów dusz znudzonych ponurością. Wskutek tego aniołowie przejawiają poruszenie wyczuwalne na ćwierć mili (porównywane przez niektórych do zapachu mokrego psiego futra albo zsiadłego mleka), a im mniejsze zaalarmowanie wśród mas ludzkich tym większą jest szansa, że akt boskiej interwencji (jak beatyfikacja świętego) może być osiągnięta bez przyciągania sporej uwagi.

A zatem, był to styczeń. Dokładnie 17 stycznia, piątek. Mokry, zimny, mgielny piątek: idealne warunki dla dyskretnej apoteozy.

Raymond Pocock, przysły święty, żył na przyjemnej, lecz kiepsko oświetlonej ulicy o ćwierć mili od głównego chodnika na Crouch End; i w tym miejscu, gdy o czwartej po południu chmury deszczowe w

1

konspiracji ze zmierzchem przepuszczały tylko nikłe oznaki światła, nikt nie ujrzał anioła Sophus Demdarity przybywającego na wezwanie.

Sophus nie była naiwną, gdy przychodziło do dokonania czynów.

Uzdrowiacz dzieci Pocock był trzecią duszą, którą przeniosła ze świata materii do duchowości w niecały rok. Jednak tego popołudnia w powietrzu wisiał zwiastun błędu. Jak tylko stanęła na progu nędznego pokoju Raymonda – chcąc pochwycić go po kryjomu – jego kolorowa papuga, siedząca na drążku ponad framugą okna, poderwała się skrzecząc alarmująco. Pocock leniwie próbował ją uciszyć, jednak ptasi hałas poruszył już lokatorów z góry i dołu, wrzeszczących o spokój. Gdy go nie otrzymali, przybyli do drzwi wejściowych świętego, grożąc ptakowi i jego właścicielowi, a jeden z nich – widząc niedomknięcie – popchnął je.

Sophus była pacyfistką. Choć było wielu spośród Najwyższego Zgromadzenia, którzy radowali się powodowaniem małego zamieszania gdy było im ono następnie wybaczone, ojciec Sophus znajdował się w legionach podczas Wojny Aniołów i opowiedział córce tak okropne historie o masakrach, że teraz nie mogła sobie wyobrazić jakiegokolwiek rozlewu krwi bez odruchu wymiotnego. Zatem zamiast rozprawy ze świadkami przy drzwiach – co rozwiązałoby wiele problemów – Sophus spróbowała wyrwania Pococka z jego marnego stanu z wielką szybkością i towarzyszeniem światła tak, aby tkwiący na progu nie uwierzyli w ten widok.

Najpierw skąpała pozbawiony radości pokój w takim płomieniu pięknego światła, że świadkowie zostali zmuszeni do zakrycia swych

oczu i wycofania się na ponury korytarz. Następnie objęła dobrego Raymonda i złożyła na jego czole pocałunek kanonizujący. W wyniku jej dotyku jego tkanka kostna wyparowała, a ciało straciło wszystko poza duchowym ciężarem.

Ostatecznie podniosła go, usuwając jednym spojrzeniem sufit, snopy światła i dach ponad nimi, i zabrała do raju. Świadkowie, bezsłowni w zmieszaniu i strachu, pospieszyli do swych pokojów i pozamykali drzwi, aby powstrzymać ten cud w pościgu za nimi.

Dom zamarł. Padał deszcz, a za nim nadeszła noc.

W Niebiańskich Posiadłościach święty Raymond z Crouch End został przywitany owacjami i w chwale. Wykąpano go, ubrano w szaty tak piękne, że doprowadziły do łez i zaproszono przed Ołtarz aby opowiedział o swych dobrych uczynkach. Gdy delikatnie

zaprotestował, iż byłoby dla niego nieskromnym wymienienie swych osiągnięć, powiedziano mu, że skromność została wynaleziona przez

Upadłego Anioła, aby zachęcić ludzi do myślenia mniej o samych sobie, i że nie powinien obawiać się cenzury swych wyróżnień.

Chociaż nie minęła godzina, od kiedy siedział w swym pokoju, tworząc poemat o ciele tragicznym, ten nędzny stan był już tylko niknącym wspomnieniem. Gdyby zapytano go o przypomnienie sobie istot żywych, z którymi dzielił pokój, najprawdopodobniej nie zdołałby ich nazwać, i jeszcze mniej pewnym byłoby rozpoznanie ich teraz.

*Spojrzysz w końcu na **mnie**?* spytała papuga, spoglądając na

swe odbicie w małym lustrze, które było przyzwoleniem świętego dla próżności. *Co się, do diabła, stało?*

Jego pióra leżały na jasnej kupce poniżej żerdzi. Okazane przez ich zrzucenie ciało było pokryte krostami i wąskie, swędząc niesamowicie, jednak nie martwiło go to.

Miał ramiona i nogi. Posiadał imponujących rozmiarów genitalia dyndające w cieniu jego brzucha. Na przedzie głowy widniały oczy i usta (pod dziobowaty nosem) wypowiadające słowa nie będące wyuczonym bełkotem, lecz jego własną inwencją.

Jestem człowiekiem, rzekł. Na Jezusa, jestem człowiekiem!

Nie kierował tych słów do pustki pokoju. W dalszym rogu, tkwiła była żółwica Theresa, która zrzuciła swą skorupę i urosła do rozmiaru czterech stóp jedenastu cali; dar dla Raymonda od dziewczynki która została wyleczona ze swej choroby przez delikatną opiekę świętego.

Jak do tego doszło? chciała wiedzieć papuga, ochrzczona przez Raymonda Pidginem, ze względu na jej kiepski angielski.

Theresa uniosła swą szarą głowę. Była zarówno łysa, jak i nieprzeciętnie brzydka, z ciałem tak pomarszczonym i sflaczałym w nowym wcieleniu jak było w poprzednim.

Został zabrany przez anioła, odrzekła. A my zostaliśmy w jakiś sposób przemienieni przez jego obecność. Spojrzała na swe ponure ręce. *Czuję się tak **naga**, przyznała.*

Jesteś naga, odrzekł Pidgin. Straciłaś swoją skorupę, a ja pióra. Ale zyskaliśmy tak wiele.

Zastanawiam się..., zaczęła Theresa.

4

Nad czym?

Czy rzeczywiście wiele zyskałiśmy.

Pidgin podszedł do okna i przyłożył palce do zimnej szyby.

Och, tam jest tak wiele do zobaczenia, wymamrotał.

Stąd wygląda żałośnie.

Boże w niebiosach-

Waż swe słowa, ucięła Theresa. Ktoś może słuchać.

Więc?

Pomyśl, papugo! Przemienienie nas w ten sposób nie było boską intencją . Zgadzasz się ze mną?

Zgadzam.

Więc jeśli podniesiesz swój głos ku Niebu, nawet w zwykłym przekleństwie, i ktoś tam na górze usłyszy twój lament –

Mogą nas zamienić z powrotem w zwierzęta?

Dokładnie.

Więc powinniśmy stąd odejść jak najszybciej. Znaleźć dla nas jakieś ubrania świętego Raymonda i wyjść na świat.

Dwadzieścia minut później stali na Crouch End, lustrując kopię

Evening Standard, którą wydobyli z kosza na śmieci. Ludzie przechodzili obok nich pośpiesznie przez mżawkę, zmarszczeni, mamroczący i popychający ich w trakcie mijania.

Czy stoimy na ich drodze? chciała wiedzieć Theresa. Czy to stanowi

problem?

Po prostu nas nie zauważają, to wszystko. Gdybym stał tutaj w pełnym upierzeniu-

5

- zamknęliby cię jako świra, dokończyła Theresa. Powróciła do lektury.

Straszne rzeczy, westchnęła. Wszędzie. Takie straszne rzeczy. Podała gazetę Pidginowi. Zamordowane dzieci. Płonące hotele. Bomby w muszlach klozetowych. Deprawacja goni deprawację. Sądzę, że powinniśmy sobie znaleźć jakąś małą wyspę, gdzie nie odnajdą nas ludzie czy anioły.

I odwrócić się plecami od tego wszystkiego? zapytał Pidgin, rozkładając ramiona i łapiąc młodą dziewczynę.

Spieprzaj z tymi łapami, wybulgotała i pospieszyła dalej.

Nie zauważają nas, co? dopytała Theresa. *Sądzę, że widzą nas doskonale.*

Deszcz pogrążył ich ducha, ocenił Pidgin. *Rozchmurzą się wraz z pogodą.*

Jesteś optymistą, papugo wymamrotała zaniepokojona Theresa. *I to może przynieść ci zgubę.*

Czemu nie poszukamy czegoś do zjedzenia? zasugerował Pidgin, łapiąc ją pod ramię. Sto jardów od miejsca, w którym stali, znajdował się supermarket, a jego jasne światła migotały w zakażonym chodniku. *Wyglądamy groteskowo,* zaproponowała Theresa. *Zlinczują nas, gdy ujrzą zbyt wyraźnie.*

Jesteś źle ubrana, to fakt przyznał Pidgin. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, noszę się przepysznie.

Wybrał z garderoby Raymonda najlepszą kopię swych piór, jaką mógł znaleźć, lecz to, co na plecach było wspaniałą prezentacją naturalnego piękna, było teraz zbieraniną krzykliwości i tłuszczu. W przypadku Teresy, ona również odnalazła odpowiednik swego

6

poprzedniego stanu, piętrząc na swych plecach wystarczająco ciasne płaszcze i swetry (wszystkie szare i zielone), tak, że niemal ugięła się wpół pod ich ciężarem.

Przypuszczam, że jeśli będziemy się trzymać razem, możemy przeżyć zawyrokowała Theresa.

Zatem chcesz iść czy nie?

Wzruszyła ramionami. *Jestem głodna*, wymamrotała.

Zakradli się do środka i wspinali w górę i dół między regałami, wybierając swe zachcianki: herbatniki, czekoladki, orzechy, marchewki i dużą butelkę wiśniowej brandy, od której Raymond był skrycie uzależniony od września. Następnie powędrowali na wzgórze i znaleźli ławeczkę na zewnątrz Kościoła Chrystusowego, blisko szczytu Crouch End. Chociaż drzewa wokół budynku były nagimi, sieć ich gałęzi oferowała wędrowcom ochronę przed deszczem i zasiedli aby przekąsić, pić i debatować nad swoją wolnością.

Czuję wielką odpowiedzialność, zaczęła Theresa.

Doprawdy? zdziwił się Pidgin, przejmując butelkę brandy z jej

niezgrabnych palców. *Czemu dokładnie?*

*Czy nie jest to oczywistym? Jesteśmy chodzącymi dowodami **cudów**.*

Widzieliśmy wniebowstąpienie świętego –

*- i widzieliśmy jego **uczynki**, dodał Pidgin. Wszystkie te dzieci, śliczne małe dziewczynki uleczone przez jego dotyk. Był wielkim człowiekiem.*

Sądzę, że nie rozkoszowały się tak bardzo tym uzdrowieniem,

zauważyła Theresa. Często łkały.

Najczęściej z zimna. Były nagie, a jego ręce takie chłodne. I zapewne

jego palce były nieco niezgrabne.

7

Ale był wielkim człowiekiem, jak stwierdziłeś. Skończyłeś z tą

brandy?

Pidgin podał butelkę – w połowie pustą – swej towarzysze.

Widziałem jak jego palce działały nader sprawnie kontynuował

człowiek-papuga. Zazwyczaj...

Zazwyczaj?

... gdy teraz o tym myślę, zawsze.

Zawsze?

Był wspaniałym człowiekiem.

Zawsze?

Pomiędzy nogami.

Przez kilka chwil przetrzymali to w milczeniu.

Wiesz co? zapytała w końcu Theresa.

Co?

Podjeżdżam, że nasz wujek Raymond był zwyrodniałym degeneratem.

Kolejna długa chwila ciszy. Pidgin spojrział przez gałęzie na bezgwiezdne niebo.

A co, jeśli się o tym dowiedzą?

To zależy od tego, czy wierzysz w Boskie Przebaczenie czy nie.

Theresa pociągnęła kolejny łyk brandy. *Osobiście sądzę, że jeszcze zobaczymy naszego Raymonda.*

Święty nigdy nie wiedział, co było jego błędem; nigdy nie wiedział czy tym, co go wydało było nieprawe spojrzenie, jakim obdarzył cherubina czy też sposób, w jaki czasem wahał się przy słowie *dziecko*.

8

Wiedział jedynie, że w jednej chwili dotrzyzymały mu towarzystwa świetliste dusze, których każdy krok rozjaśniały gwiazdy, a w następnej ich jasne twarze spoglądały na niego z pogardą, a powietrze które napełniło jego piersi błogosławieństwem zmieniło w brzozowe różgi smagające do krwi.

Błagał o współczucie; ciągle i ciągle. Jego pożądanie przerażało go, co przyznał, ale opierał mu się najlepiej jak potrafił. A jeżeli czasami dał się pochłonąć wstydlivej gorączce, czyż było to niewybaczalnym? Wszak w szerokiej perspektywie swych czynów dokonał więcej dobra niż zła.

Różgi nie spowolniły swego tatuowania razami. Upadł na kolana, łkając.

Dajcie mi odejść, poprosił w końcu Najwyższych Biczowników.

Wyrzekam się tu i teraz swej świętości. Nie karajcie mnie więcej. Po prostu odeślijcie do domu.

Deszcz ustał o ósmej czterdzieści pięć, i do dziewiątej, gdy Sophus Demdarita przywiodła Raymonda spowrotem do jego marnego domostwa, chmury się rozstały. Światło Księżyca obmywało pokój, gdzie uleczył pół setki małych dziewczynek i gdzie pięćdziesiąt razy łkał ze wstydu. Rozświetlał kałuże na dywanie, do których przez dziurawy dach napadał deszcz. Rozjaśnił też puste drewniane pudełko gdzie żył jego żółw i kupę piór pod żerdzią Pidgina.

Ty zdziro! zaklął w stronę anioła. Co im zrobiłaś?

Nic, odparła Sophus. Spodziewała się najgorszego. Zamilknij albo mnie rozproszysz.

9

Obawiając się kolejnego lania, Raymond zamarł, i gdy anioł zmarszczył brwi i mrucał pod nosem, puste powietrze ujawniło duchy przeszłości. Raymond ujrzał siebie powstającego znad sonetów, niczym syrop uświęconego światła, oznajmiającego niebiańską obecność. Widział zaalarmowaną papugę wlatującą ze swej żerdzi; widział otwarte drzwi gdy sąsiedzi przybyli ze skargą, i ujrzał ich wycofujących się z progu w podziw i lęku.

Przypomnienie stało się teraz bardziej gorączkowe, gdyż Sophus okazała zniecierpliwienie dla rozwiązania tej tajemnicy. Duchowe postaci anioła i mężczyzny uniosły się ponad dach, a Raymond

spojrzał na zaczarowane obrazy Pidgina i Theresy. *Mój Boże,*

westchnął. *Co się z nimi dzieje?*

Papuga miotała się niczym opętana z odpadającym upierzeniem, gdy ciało rozrastało się i napełniało. Skorupa żółwia pękła, gdy i ona również urosła, zamieniając swą postać z gadziej na bardziej ludzką w ciągu jednej chwili.

Cóżes zrobiłam?, wymruczała Sophus. *Boże w niebiosach, cóżes uczyniłam?* Zwróciła się ku niegdysiejszemu świętemu. *Obwiniam za to ciebie*, rzekła. *Rozproszyłeś mnie swymi łzami dziękczynnymi. I teraz jestem zobligowana do uczynienia czegoś, co przysięgłam swemu ojcu nigdy nie czynić.*

Co takiego?

Odebrać życie, odparła Sophus, oglądając z bliska przyspieszające obrazy. Papuga i żółw kradli ubrania i ruszyli do drzwi. Anioł kontynuował. *Nie jedno*, rzekła grobowo. ***Dwa.*** *Musi to wyglądać jakby ten błąd nigdy nie został uczyniony.*

10

Ulice północnego Londynu nie są znanym miejscem cudów.

Widziały morderstwa, gwałty, rozboje. Ale objawienia? To było dobre dla High Holbery i Lambeth. Owszem, w parku Finsbury widziano istotę z ciałem psa rasy chow-chow i głową Winstona Churchilla, jednak to niedorzeczne zdarzenie było najbliższym zniebozstąpieniu od lat pięćdziesiątych.

Aż do tej nocy. Tej nocy, drugi raz w ciągu pięciu godzin, pojawiło

się cudowne światło, i przy tej sposobności (deszcz przestał padać, balsamiczne powietrze przyciągnęło imprezowiczów) nie przeszło niezauważone. Sophus była w zbyt wielkim pośpiechu, aby zostać dostrzeżoną. Przeszła ponad Broadway w formie trzepoczącego fajerwerku, wyrywając ateistów z ich spokoju i przerażając wyznawców katechizmu. Zaskoczony mecenas, będący świadkiem przelotu za oknem swego biura, wezwał zarówno policję jak i straż pożarną. Do czasu, gdy Sophus Demdarita osiągnęła kres wzgórza Crouch End, w powietrzu rozległ się dźwięk syren.

Słyszę muzykę, stwierdziła Theresa.

Masz na myśli alarm.

Mam na myśli muzykę.

Wstała z ławki, z butelką w ręce i odwróciła się w stronę skromnego kościółka za nimi. Z wewnątrz dochodził dźwięk rozśpiewanego chóru.

Co oni śpiewają?

Requiem, odparła Theresa, i zaczęła wchodzić po schodach w górę

11

kaplicy.

Gdzie, do cholery, się wybierasz?

Aby posłuchać, przyznała.

To chociaż zostaw mi... Nie doszedł do słowa *brandy*. Syreny zwróciły jego spojrzenie ponownie na zbocze wzgórza, gdzie ujrział światło Sophus Demdarity rozjaśniające asfalt.

Theresa? wymamrotał.

Nie otrzymując odpowiedzi, zerknął za siebie na towarzyszkę.

Nieświadoma ich zagrożenia, była na bocznym ganku otwierając drzwi.

Pidgin wrzasnął ostrzegawczo – albo raczej próbował – lecz gdy podniósł swój głos, wyłoniło się coś z jego dawnej ptasiej postaci i lament stał się przygaszonym skrzekiem. Nawet jeśli pojęła naturę jego słów, Theresa pozostawała na nie głucha, przywołana przez rozbrzmiewające requiem. W jednej chwili, zniknęła z widoku.

Pierwszą instynktowną myślą Pidgina była ta o ucieczce:

uczynienie jak największej odległości między jego nowo wykiełkowanym ciałem a aniołem chcącym je odmienić. Ale jeśliby teraz umknął, a boski posłaniec zadał śmierć Theresie, cóż by dla niego pozostało? Życie spędzone na ukrywaniu się, strachu przed każdym światłem rozbłyskującym obok okna; życie, w którym nie odważyłby się przyznać do odmieniającego go cudu w lęku przed tym, że jakiś bezmózgi chrześcijanin wyda jego kryjówkę Bogu? Był to żaloszny sposób na życie. Lepiej było stawić czoła niegodziwemu odmieniaczowi teraz, z Theresą u swego boku.

Zaczął pewnie wspinać się w górę schodów, a zauważający go w

12

cieniu anioł przyspieszył wzbijając się po zboczu, z ognistym ciałem zdającym się rozrastać z każdym dystansem. Panicznie oddychający, Pidgin pognał w stronę ganku, szarpnął za drzwi i wtoczył się do

środką.

Z dalszego końca kościoła, gdzie około sześćdziesięciu chórzystów zgromadziło się przed ołtarzem śpiewając jakąś pieśń o śmierci, na powitanie przybyła fala melancholii. Theresa zerknęła na niego ciemnymi oczyma, przepełnionymi łzami.

Czyż nie jest to piękne?, westchnęła.

Anioł.

Tak, wiem. Przyszedł po nas, przyznała, spoglądając na witraż za nimi.

Na zewnątrz płonęło ogniste światło i purpurowe, niebieskie, oraz czerwone płomienie padały wokół ściganych.

Nie ma sensu uciekać. Lepiej porozkoszujmy się muzyką, aż do końca.

Chór nie przestawał śpiewać *Libera Me*, pomimo jaśniejących promieni. Większość uniesionych muzyką śpiewaków kontynuowała dawanie z siebie wszystkiego, wierząc zapewne, iż ta otoczka była przebłyskiem niezwykłości, spowodowanej przez requiem. Zamiast stracić impet, muzyka wzmożła się gdy drzwi na zapleczu kościoła otworzyły się na oścież i wkroczyła Sophus Demdarita.

Dyrygent, do tej chwili błogo nieświadomy tego, co czaiło się na progu, zerknął wstecz. Batuta wypadła z jego palców. Chór, pozbawiony komendy, zagubił się na przestrzeni zwrotki. Requiem stało się poszarpaną kakofonią, poprzez którą głos anioła urósł niczym dźwięk wywołany przez pocieranie palcem krawędzi kieliszka.

Wy! Zawołała, wskazując palcem na Pidgina i Theresę.

Chodźcie tutaj.

Powiedz jej, żeby się odjebała, Pidgin poprosił Theresę.

Chodźcie do mnie!

Theresa odwróciła się na pięcie i wrzasnęła poprzez przejścia:

*Wy tam! Wszyscy! Zaraz ujrzycie dzieło **Pana!***

Zamknij się! odparł anioł.

*Ona chce nas zabić, gdyż nie chce nas w **ludzkiej** postaci!*

Chór całkiem już zapomniał o requiem. Dwóch tenorów łkało, a jedna ze śpiewaczek altowych przestała kontrolować swój pęcherz i głośno zmoczyła marmurowe stopnie.

Nie odwracajcie wzroku! nakazała im Theresa. *Musicie to zapamiętać na zawsze!*

To was nie uratuje, stwierdziła Sophus. Jej nadgarstki zaczęły jaśnieć. Szykowała najwyraźniej jakiś obezwładniający cios.

Czy... potrzywasz moją rękę? zapytał Pidgin, sięgając w poszukiwaniu uścisku Theresy.

Uśmiechnęła się słodko i wsunęła swoją dłoń w jego. Potem - choć wiedzieli, że nie mogą uciec przed nadchodzącym ogniem - zaczęli wycofywać się z jego źródła, niczym para młoda odgrywająca wstecz swoją ceremonię.

Za ich plecami, świadkowie zaczęli się wymykać. Dyrygent ukrył się za pulpitem; śpiewacy basowi umknęli, a jeden z łkających tenorów grzebał w kieszeni szukając chusteczki, podczas gdy sopraniści odepchnęli go w akcie ucieczki.

Anioł podniósł swe zbrodnicze ręce.

Mieliśmy przez chwilę dobry ubaw, zamruczał Pidgin do Theresy,

14

zwracając na nią wzrok, aby nie widzieć nadchodzącego uderzenia.

Nie nadeszło. Wycofali się o kolejny krok, i następny, i wciąż nie nadchodziło. Oboje odważyli się zerknąć wstecz na Anioła i dostrzegli ku swemu zdumieniu że znikąd pojawił się wujek Raymond, i stanął pomiędzy nimi a anielskim gniewem. Najwyraźniej cierpiał w raju. Jego złocista szata zwisała w strzępach. Ciało miał pokrwawione, pokryte sińcami w miejscach wielokrotnych uderzeń. Ale posiadał siłę człowieka nieprzebaczonego.

Są niewinni! zakrzyknął. *Niczym małe dzieci!*

Wściekła wobec tego zachowania Sophus Demdarita wydała z siebie nieskładny krzyk, a wraz z nim ogień przeznaczony dla Pidgina i Theresy. Uderzył on biednego Poccocka w jego nieprawie genitalia - przypadkowo czy celowo, nikt nie wiedział - i rozpoczął swe wyniszczające dzieło. Raymond odrzucił w tył głowę i załkał, częściowo w agonii a częściowo w akcie podziękowania, po czym, zanim anioł zdołał się od niego oddzielić, sięgnął i wepchnął swe palce głęboko w jego oczy.

Anioły nie odczuwają fizycznego cierpienia; to jedna z ich tragedii. Lecz palce Raymonda, zmieniające się w tej chwili w ekskrementy, znalazły swą drogę do czaszki Sophus Demdarity. Oślepiiony przez gówno, niebiański wysłannik odbił się od swej ofiary i

napotkał falę strażaków i oficerów policji wchodzących za nią do kościoła, mających w gotowości topory i sikawki. Wzniosła swe ramiona ponad głowę i uniosła do góry na promieniu migoczącej siły, usuwając się z ziemskiego padołu zanim jej obecność zetknęła się z niegodnym tego ludzkim ciałem i rozpoczęła nową grę następstw.

15

Ziarno zgnilizny, jakie zasiała w ciele Raymonda, nie zaprzestało kiełkowania po jej odejściu. Przemieniał się w odchody i nic nie mogło powstrzymać tego procesu. Do chwili, w której Pidgin i Teresa dotarli do niego, był niczym więcej jak tylko głową w rozprzestrzeniającej się kałuży ekskrementów. Ale zdawał się być zadowolonym.

No, no, no... rzucił do pary ... cóż to był za dzień. Wykaszłał ohydne pierdnięcie. Zastanawiam się... czy może o tym śniłem?

Nie, odparła Theresa, wygrzebując z jego oka prosty włos. Nie, nie śniłeś.

Czy ona tu wróci? chciał wiedzieć Pidgin.

To bardzo możliwe, odparł Raymond. Ale świat jest rozległy, a ona ma moje gówno w swoim oku, i nie widzi was dokładnie. Nie musicie żyć w strachu. Uczyniłem go wystarczająco za nas troje.

Czy nie chcieli cię w Niebie? spytała Theresa.

Obawiam się, że nie odrzekł. Ale ujrzawszy je, nie dbam już o to.

Jednak jedna kwestia... jego twarz rozkładała się teraz, a oczy zapadały w głąb.

Tak? zapytał Pidgin.

Pocałunek?

Theresa pochyliła się i złożyła swe usta na jego. Strażacy i oficerowie odwrócili wzrok z odrazą.

A ty, mój zwierzaku? Pocock zwrócił się do Pidgina. Był już tylko ustami, uwypuklonymi na kupce gnoju.

Pidgin wzbronił się. *Nie jestem twoim zwierzakiem*, odparł.

Usta nie miały już jednak czasu na przeprosiny. Zanim zdołały wypowiedzieć kolejną sylabę, rozłożyły się.

16

Nie żałuję, iż go nie pocałowałem, Pidgin wyznał Theresie, gdy wędrowali w dół wzgórza, jakąś godzinę później.

Potrafisz być oziębły, papugo, odrzekła Teresa. Potem, po chwili, dodała: *Ciekawi mnie, co mówią o tym chórzyści, gdy wspominają?*

Och, wymyślają teorie, stwierdził Pidgin. *Prawda nie wyjdzie na światło dzienne.*

*Dopóki **my** jej nie wyznamy*, przyznała Teresa.

Nie, zaprzeczył Pidgin. *Musimy ją zatrzymać dla nas samych.*

Czemu?

Moja kochana Tereso, czyż to nie jest oczywiste? Jesteśmy teraz ludźmi. To oznacza, że są rzeczy, których powinniśmy unikać.

Anioły?

Tak.

Ekskrementy?

Tak.

I-?

Prawda.

Ach, odparła Teresa. Prawda. Zaśmiała się lekko. Od teraz zabrońmy jej w naszych konwersacjach. Zgoda?

Zgoda, potwierdził, składając szybki pocałunek na jej rozległym policzku. Czy mam zacząć? Zapytała Teresa.

Jak najbardziej.

Pogardzam tobą, kochany. A myśl o płodzeniu z tobą dzieci napawa mnie odrazą.

Pidgin poczochnął wzrastającą wypukłość na przedzie swych spodni.

A to, powiedział, jest patyk z lukrecji. I nie mogę sobie wyobrazić

17

gorszego czasu na jego użycie niż teraz.

A mówiąc to objęli się z niemałą pasją, i niczym niezliczone pary przemierzające tej nocy miasto, zaczęli poszukiwać miejsca dla złączenia swych kończyn, okłamując się wymyślnie po drodze.

18